

## **Monika Sokół**

### **Droga do nieba**

Ludwik chwiejnym krokiem przemierzał salę bankietową swojego pałacu pełną kobiet w żółtych wieczorowych sukniach i mężczyzn w smokingach z żonkilami wpiętymi w klapy, pograżonych w na pozór błahych rozmowach. Gdziekolwiek dostrzec można było także mężczyzn w sutannach, którzy na prezydenckich salonach czuli się jak u siebie. Ci wszyscy potężni i bogaci ludzie byli gośćmi wiosennego bankietu u prezydenta, ostatniego wystawnego rautu dla elit. Nikt w pełni nie zdawał sobie sprawy z gwałtowności zmian, jakie wkrótce nastąpią, ale goście musieli coś podejrzewać, bo pomimo wykwintnego jedzenia i morza alkoholu, w powietrzu wyczuć można było pewną nerwowość. Na sali tworzyły się grupki połączone wspólnymi interesami, szeptem wymieniające plotki i z niejakim zażenowaniem zerkające na zataczającego się prezydenta.

Ludwik pił na umór. Opróżniał wszystkie kieliszki w swoim zasięgu. Wino, koniak, whiskey – rodzaj nie robił różnicy. Ważne było, żeby znieczulić, a przy pewnej dozie szczęścia utopić robaka, który wiercił się niespokojnie w miejscu, gdzie Ludwik powinien mieć serce. Chłód strachu promieniującego z klatki piersiowej niemal paraliżował prezydenta. Bał się, chociaż nie pamiętał, dlaczego. Najwidoczniej terapia alkoholowa przynajmniej częściowo przyniosła oczekiwany rezultat – zapomnienie. Podświadomość jednak pamiętała, a robak wił się bezlitośnie.

Nagle poczuł, że ktoś delikatnie, ale zdecydowanie klepie go w ramię. Odwrócił się gwałtownie, z trudem zachowując równowagę. Przed nim stał jego sekretarz, Karol – osoba wtajemniczona we wszystkie mroczne sekrety swojego pracodawcy. Sekretarz trzymał w dłoni elegancką tackę, na której pomiędzy obowiązującymi na dzisiejszym balu żonkilami, leżał niewielki bilecik. Ludwik otworzył go i z trudem odczytał wiadomość. „Wszystko gotowe. Natychmiast proszę wyjść z pałacu. Samochód czeka”. Podpisano: „O”. „O” jak Opatrzność. Po plecach prezydenta przebiegł zimny dreszcz. W jednej chwili opary alkoholu wywietrzały mu z głowy, odsłaniając przerażającą rzeczywistość, skutecznie zagłuszaną przez cały wieczór – jutro rozpęta się prawdziwe piekło. Jediną szansą na jego uniknięcie była natychmiastowa ucieczka, jeszcze zanim granice zostaną zamknięte.

Chciał natychmiast wybiec z sali, ale uniemożliwiła mu to silna dłoń Karola na ramieniu.

- Spokojnie, panie prezydencie – szepnął mu do ucha. - Proszę spokojnie opuścić bankiet. Swobodnym krokiem, nie za szybko. Ja pana wytłumaczę przed gośćmi.

Ludwik wiedział, że sekretarz miał rację. Gdyby w pałacu wybuchła panika, nie dojechałby nawet do granic miasta, nie mówiąc o lotnisku. Informacja o jego ucieczce lotem błyskawicy opuściłaby przyjęcie i rozeszła się po całym kraju. Obawiał się, że wtedy mogłyby go dopaść bojówki jednej albo drugiej strony – albo Sekularystów, albo Związku Katolickiego, przyczajone gdzieś w zasadzce na drodze na lotnisko. Ze spotkania z żadną z tych grup nie wyszedłby cało.

Sekularyści pozbyliby się go, by uniemożliwić mu podpisanie aktu przekazania kraju w ręce Kościoła lub ewentualnie, po fakcie, oskarżyć Kościół o jego sfalszowanie. Gdyby zabrakło prezydenta, nikt nie mógłby potwierdzić, że wbrew pozorom wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Wyglądało na to, że ktoś z kancelarii wygadał się, że taki akt przekazania jest przygotowywany, media to podchwyciły i informacja, chociaż niepotwierdzona, poszła w świat, a ludzie wyszli na ulice. Z drugiej strony też nie było różowo. Obawiał się, że Związek Katolicki, stanowiący polityczne ramię Kościoła, mógłby chcieć go usunąć zaraz po podpisaniu aktu, by zażegnać możliwość anulowania dokumentu. Bez wątpienia obydwie te grupy wołałyby, żeby nie dożył jutra. Jednak dzięki O miał szansę wyjść z tej opresji cało. O był jego prywatnym bankierem, który przez ostatnie miesiące dyskretnie przelewał „oszczędności” Ludwika na konta w Szwajcarii i na Kajmanach. W imieniu prezydenta prowadził też potajemne negocjacje z Kościołem, w wyniku których Związek Katolicki miał bezkrwawo przejąć władzę i zaprowadzi porządek. Wtedy każdy inny, niezależnie czy „inny” oznaczało wyznawców innych religii, ludzi o innym kolorze skóry czy orientacji seksualnej, zostanie zesłany do obozów karnych, gdzie pracując na chwałę Kościoła będzie mógł odkupić swoje grzechy i dostąpić życia wiecznego po śmierci. Według Ludwika takich ludzi nie mogło spotkać w życiu nic lepszego.

Sam Ludwik dostał to, czego chciał – Kościół zagwarantował mu, że po śmierci pójdzie prosto do nieba. A on bardzo chciał się tam znaleźć – spędzić życie wieczne bezpośrednio w blasku bożej chwały, co też gwarantowała mu umowa. Ponadto miał na niego czekać akt rozwodu kościelnego podpisany przez samego papieża. Jego żona dobrze wspierała go w obowiązkach prezydenta, przeważnie ograniczając swoją aktywność do spotkań reprezentacyjnych z głowami innych państw i nigdy nie krytykując poczynań swojego męża. Dokładnie tego od niej oczekiwał. Wkrótce jednak przestanie być prezydentem i idealna prezydentowa przestanie mu być potrzebna. Teraz w jego życiu przyszedł czas dla młodej dziewczyny, z którą będzie mógł robić wszystko, o czym wcześniej bał się nawet pomyśleć. W końcu przecież i tak pójdzie do nieba, więc nie musi się więcej ograniczać w swoich pragnieniach.

Idąc za radą Karola, zrobił minę, która w jego mniemaniu miała wyglądać na wielce zafrasowaną, podczas gdy większość gości przyjęcia odczytała ją jako nagły atak mdłości. W takiej sytuacji nagłe opuszczenie sali bankietowej było całkowicie zrozumiałe i jak najbardziej wskazane. Jednak po wyjściu zamiast udać się do toalety, skręcił na schody przeciwpożarowe.

- Panie prezydencie, toalety są w drugą stronę. - Ludwik usłyszał za plecami głos jednego ze swoich ochroniarzy. Zaklął po nosem, zupełnie o nim zapomniał.

- Tylko, że ja wcale się tam nie wybieram. - Ludwik wyprowadził go z błędu. Widząc strome schody i czując słabość alkoholową w kolanach, wpadł na świetny pomysł. - Pomóż mi zejść na dół i zaprowadź mnie na tylni parking.

- Dobrze – zgodził się mężczyzna. - Muszę tylko zameldować o tym centrali.

- Nie! Zabraniam! - wrzasnął Ludwik. - Nikomu nic nie mów! Jestem twoim prezydentem i masz mnie słuchać! A mówię, żebyś mnie zaprowadził na parking. I to po cichu.

Ochroniarz skrzywił się niezadowolony, ale z doświadczenia wiedział, że nie jest dobrze sprzeciwiać się prezydentowi. Może i był mało roztropną marionetką w rękach Kościoła, ale jednocześnie był chorobliwie przewrażliwiony na punkcie własnej osoby. Wziął więc chwiejącego się Ludwika pod ramię i sprawnie wyprowadził z budynku.

Na parkingu czekała już czarna, pancerna limuzyna przysłana przez O. Ludwik odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na budynek, który przez ostatnie cztery lata był dla niego domem. Oczy mu wyobraźni widziały, jak pałac prezydencki eksploduje fajerwerkami ognia, a cała zgromadzona na bankiecie przepelniona jadem i zajęta snuciem intryg elita, ginie pod gruzami. Jak on ich nienawidził! Tych spojrzeń ledwie maskujących pogardę, tych szyderczych min, jakie wymieniali między sobą nawet jego najbliżsi współpracownicy, gdy sądzili, że ich nie widzi. Teraz jednak to on był górą. Uśmiechnął się złośliwie i wsiadł do samochodu, zostawiając przeszłość za sobą.

- Dzień dobry, panie prezydencie. - Powitał go niski głos O.

- Dzień dobry, O. Czy wszystko gotowe? - spytał.

- Tak – potwierdził bankier. - Pieniądze zostały przelane na anonimowe konta, a samolot czeka na prywatnym lotnisku, by zabrać pana z dala od tego, co tu się wkrótce będzie działo.

- Bardzo dobrze. - Prezydent skinął głową. Ufał O całkowicie.

- Zechce pan podpisać akt?

- Zechcę – zgodził się prezydent. - Ale nie tutaj. Na pokładzie samolotu. Wiele rzeczy może się jeszcze wydarzyć w drodze na lotnisko. Masz mój rozwód?

- Proszę, oto on. - Bankier podał Ludwikowi dokument tak upragniony przez niego samego i przez pewną młodą stażystkę z jego kancelarii.

Nie zamienili więcej słowa i w milczeniu, jadąc bocznymi ulicami, by ominąć zamieszki, dotarli na lotnisko, gdzie mały odrzutowiec czekał w pełnej gotowości na swojego jedyne go pasażera.

O wszedł na pokład samolotu wraz z prezydentem i bez mrugnienia okiem patrzył, jak jego pióro kreśli podpis pod historycznym dokumentem. Dyskretnie filmował całe zdarzenie, by nikt nie mógł zarzucić fałszerstwa tego niezwykle istotnego aktu. Czuł, że po tej nocy już nic nie będzie takie samo. Jednak nie martwiło go to zbytnio - bogaci zawsze dadzą sobie radę, a on miał przywilej należeć do tej właśnie kasty.

Spakował do pancерnej aktówki dokument, za doprowadzenie do podpisania którego Kościół obiecał mu fortunę, skinął głową prezydentowi i wysiadł z samolotu. Teraz jak najszybciej

musiał dostarczyć dokument kardynałowi i odebrać swoją nagrodę. Niewydarzony prezydent został wymazany z jego pamięci wraz z trzaśnięciem zamykanych drzwi limuzyny.

Po starcie samolotu Ludwik rozparł się wygodnie w fotelu, a stewardessa podała mu kieliszek schłodzonego szampana. Czuł ulgę. Wraz z podpisem wreszcie została z niego zdjęta odpowiedzialność za ten beznadziejny kraj i jego niewdzięcznych obywateli. Zdawał sobie sprawę, że niektórzy nie uważają go za zbyt bystrego, ale tym razem wykazał się prawdziwym sprytem, zadbawszy zarówno o swoje dobra doczesne, jak i o przyszłe. Był z siebie niezwykle zadowolony.

Ta cała droga na lotnisko i podpisanie dokumentu sprawiły, że miał ochotę zwilżyć sobie gardło. Szampan przybył we właściwym czasie. Pociągnął duży łyk i uśmiechnął się szeroko, czując jak bąbelki łaskoczą go w nos.

- To gdzie lecimy? - spytał stewardessę, gestem domagając się dolewki.

- My, na Seszele – powiedziała, zdecydowanym ruchem wyciągając zza pleców rękę, w której trzymała pistolet z tłumikiem. - A pan, panie prezydencie, prosto do nieba...

*Zachodnia Dolina Gausy, 2018*